

Janina Kulczycka-Saloni

Czytając Prusa

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 41, 297-309

1985

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANINA KULCZYCKA-SALONI

CZYTAJĄC PRUSA

Nie zawsze czytamy dlatego, że dany tekst przeczytać chcemy. Często zmuszają nas do jego lektury okoliczności zewnętrzne, nieraz od zainteresowań aktualnych bardzo odległe. I ja obecnie znalazłam się w takiej przymusowej sytuacji: z każdego prawie kiosku uderza mnie tytuł „Przeгляд Tygodniowy”. Zapyłone i zaczytane roczniki jego czcigodnego poprzednika przywykłam widywać tylko w bibliotekach. Nazwisko Bolesława Prusa zaś odczytywałam zwykle na kartach tytułowych jego arcydzieł, a stosunkowo od niedawna na szyldzie księgarni mieszczącej się w domu, w którym podobno toczyła się akcja jego powieści. Obecnie zaś natykam się na nie w prasie codziennej, jako patronujące stowarzyszeniu ludzi, którzy na życie zarabiają pisaniem. Trochę zaskakuje ta złośliwość losu, który pracownikom literackiego i naukowego pióra wskazał takiego patrona: przecież Prus, jak sam ongiś wyznał, do swego pisania dokładał, oni zaś chcą na nim zarabiać.

Tak więc atakowana z różnych stron częstymi nawiązaniem do epoki postyczniowej, jej haseł, instytucji i ludzi, próbowałam zagłębić się, nie po raz pierwszy n.b., w spuściznę publicystyczną największego jej reprezentanta. Zgrzebna to literatura – adresowana do odbiorców pism, w owej epoce nazywanego brukowym, i to w dodatku do tej ich grupy, której żyło się najciężej, która w piśmie szukała informacji o wolnych miejscach pracy, o możliwości najskromniejszego bodaj zarobku, pragnęła praktycznych porad w prostych sprawach życiowych, najprzystępniej przekazanych pożytecznych informacji, łatwo zrozumiałego dowcipu, zabawnej anegdoty.

Ale ta na pozór zgrzebna, niekiedy zaś nawet prostacka, literatura odczytywana po stu latach wciąż odbiorcę nie tylko zainteresowanego dokumentami lat minionych, ale także przyzwyczajonego do późniejszych bardziej smakowitych pod względem artystycznym tekstów. Zadziwia go swoim tematycznym bogactwem, intelektualną głębią

dokonanych analiz, zadziwia wielością zamkniętych w niej sensów, swą myślową i językową wieloznacznością.

Bo o czym opowiada w swych gawędach z czytelnikiem sprzed wieku kronikarz Warszawy – o losach cywilizacji śródziemnomorskiej, o znaczeniu kultury antycznej dla człowieka XIX stulecia, o wnioskach, które można wysnuć z losów i upadku starożytnych imperiów, o prawach rządzących historią, by zaraz potem przejść do spraw bliższych, a mianowicie do sytuacji ekonomicznej Królestwa Polskiego, do gmin wiejskich, ich pisarzy i mieszkańców, do mody damskiej i Saskiego Ogrodu, gdzie moda ta jest wystawiana na pokaz, do życia warszawskich stróżów, służących i warszawskich bezdomnych.

Co za ogromna skala wielkości, kształtów barw, co za umiejętność przyciągnięcia uwagi czytelnika i prowadzenia go po tych najrozmaitszych tematach w sposób jak najbardziej naturalny, bez sztucznych nawiązań i sofistycznych sztuczek.

A co zaś najważniejsze, jaka prostota i przejrzystość języka. Jaka doskonałość w budowaniu zdań krótkich, nieskomplikowanych, a mieszczących bogatą treść wypowiedzianą i jak wiele sugerujących domyślności czytelnika. Jaka wreszcie prostota leksykalna i semantyczna; przecież autor porusza tu podstawowe dla człowieka zagadnienia ontologii, etyki, historiozofii, estetyki, ekonomii, a obywa się doskonale bez terminów specjalistycznych. A jeżeli je czasem wprowadza, to dba, by kontekst ułatwiał ich zrozumienie, albo wyjaśniał w sposób przystępny.

Mówiąc zaś o tych doniosłych, podstawowych sprawach, doskonale obywa się bez szumnych, wielkich słów i patetycznych, uroczystych zwrotów, które chciałoby się pisać z dużej litery w odróżnieniu od słów „normalnych”. Jemu zaś wystarczą słowa zwykłe, których używa się na co dzień, w języku potocznym. On o najdonioślejszych, a co najważniejsze, niedozwolonych w tym „domu niewoli”, którym było Królestwo Polskie przed wiekiem, mówi przyciszonym, spokojnym głosem, jak w przyjacielskiej pogawędce. Jest więc wśród nich, wielkich zagadnień ogólnych i drobnych spraw życia codziennego, obecna stale ta największa i najboleśniejsza sprawa narodu, jego historycznego dziedzictwa i jego przyszłości.

Sam wyraz naród zjawia się w publicystyce Prusa tylko jako nazwa innych narodów, najczęściej bardzo odległych historycznie i geograficznie. Polaków zacznie nazywać narodem dopiero w ostatnich latach

swej publicystycznej działalności. Ale zajmuje się nimi stale, właściwie wyłącznie, używając zwrotów neutralnych, jak np. zaimek: „my”, „my wszyscy”, odmieniany przez wszystkie przypadki i w różnych kontekstach, „ogół”, czasem „społeczeństwo”.

Mimo tych uników i przemilczeń czytelnik orientuje się doskonale, kiedy pisarz ma na myśli cały naród, wszystkich Polaków bez względu na polityczne podziały i geograficzne odległości, kiedy poszczególne jego części wchodzące w skład różnych organizmów państwowych, kiedy poszczególne składające go grupy społeczne. I naród nasz, choć prawie nigdy tak nie nazywany, jest bohaterem *Kronik* Prusa, tematem ich – jego dola, sytuacja polityczna i ekonomiczna, jego wypaczona przez niewolę dusza.

Słowem, publicystyka Prusa jest bezcennym przykładem, jak o sprawach wielkich można mówić nie używając wielkich słów, dowodem, jak ta ściszona stylistyka czyni taką wypowiedź jeszcze bardziej przejmującą i silniej oddziałującą na słuchacza.

Prus, jak wspomniałam wyżej, adresował swoje *Kroniki* do bardzo szerokiej publiczności współczesnej, czasami nawet troszczył się o potomnych, prosząc np. przyszłych wnuków swoich kolegów, by porównali bruki warszawskie jego czasów z brukami warszawskimi w 1985 r. i tym wspomnieniem odwdzięczyli się za swoją o nich troskę. Jakże więc uświadamiał sobie własną rolę jako autora i narratora tych wypowiedzi.

Dość obfita literatura poświęcona kronikom wymienia rozmaite role, jak np. bernardyn Kleofas, czy japoński lub angielski podróżnik i rozmaite maski, które przywdziewał, by uatrakcyjnić swoje wywody i usankcjonować je jakimś autorytetem. Były to rozmaite, znane w felietonistyce chwytły: uciekał się do nich jako dziennikarz, za którego uważał się i którego zadania tak definiował: „Dziennikarstwo jest historią czasów bieżących, dziennikarz zaś nie może być ani sędzią, ani kaznodzieją, ani katem, ale przede wszystkim: dobrym obserwatorem, który zamiast śledzić i chłostać jednostki, śledzi całe klasy i prądy społeczne” (V, 337). I w całej swojej wieloletniej działalności publicystycznej Prus realizował teoretycznie sformułowane hasło, że dziennikarz śledzi klasy i prądy społeczne. Ale żeby ten obowiązek spełnić dobrze, interesował się także przeszłością, by znaleźć w niej korzenie współczesności i wykryć prawa rządzące losami człowieczeństwa. Śledził więc także długie procesy historyczne. Naturalnie wybierał sobie odległe,

neutralne przykłady. Wypowiadał sądy uogólniające na przykładzie dziejów państw i narodów starożytnych, zachwycał się przy tym współczesnością i postępem, który dokonał się w ciągu wieków.

Okazję do takiej refleksji dały mu *Pochodnie Nerona* Siemiradzkiego, którym wyłącznie poświęcił długą kronikę. Na marginesie analizy poszczególnych postaci tego obrazu taką sformułował uwagę:

Narody, to jest materiał stanowiący państwa, dlatego są bez porównania trwalszymi, że każdy z nich jest tylko jakąś odmianą rodzaju ludzkiego, dla którego po dziś dzień jeszcze ostatnia nie wybiła godzina (III, 443).

Jakąż otuchą musiały brzmieć te słowa dla odbiorców czytających je i mających w oczach postaci, które były bohaterami wydarzeń w państwie stojącym u szczytu swej potęgi. Prawie każdej z tych postaci Prus poświęcił uwagi, analizując na podstawie pozy ciała i wyrazu twarzy rolę, którą spełniała w dziejowym dramacie. Współczesny czytelnik, który pamięta obraz Siemiradzkiego, nie oprze się uwadze, że w analizie, której Prus dokonał, wiele jest elementów „naddanych”, wniesionych przez interpretatora. I z tych elementów, nie z postaci obrazu Siemiradzkiego wysnuwa Prus następujący morał:

Każda z tych figur powtarza ci, na swój sposób, że to, co jest złe, samo się strawi, że zużyci muszą ustąpić zdrowym i świeżym, że choć apostołowie i pokolenia giną, sprawiedliwe idee zostają i bujny plon wydadzą, jak ziarna owej pszenicy, która w trumnie mumii egipskiej przespała czterdzieści wieków” (III, s. 455).

Tych irracjonalnych sformułowań znajdziemy w *Kronikach* Prusa bardzo dużo. Tego znanego nam z wielu utworów literackich i sformułowań publicystycznych *contra spem spero* nie uniknął niestrudzony obserwator współczesnych narodów i poszukiwacz praw historii rządzących dziejami społeczeństw. Prus w gruncie rzeczy, niezależnie od swego ogólnego odczytania w socjologii epoki, w jej syntezach historycznych i mimo deklarowanego przejęcia się ich dyrektywami metodologicznymi, miał własny, jakby „prywatny” pogląd na dzieje ludzkości. Ujawniał go rzadko, rzadko przyznawał się do przekonania, że procesy historyczne, które dokonują się wolno w stosunku do ludzkiego życia i dlatego są trudno poznawalne dla swych uczestników czy świadków, realizują zawsze jakąś myśl głębszą, ukrytą przed powierzchownym obserwatorem. Ich wynik nie jest prostą wypadkową czynników ekonomicznych i mimo pozorne wyłączenie wpływu podłoża gospodarczego na bieg spraw dziejowych mają także wpływ czynniki pozatekoniczne i pozamaterialne. Naturalnie na te tematy nie mógł

wypowiadać się wprost, co ważniejsze zaś nie mógł swoich poglądów poprzeć rzeczowymi argumentami i musiał poprzestać na takich oświadczeniach, jak np. to w sprawie stosunków polsko-niemieckich przypominające tylekroć analizowane przez badaczy niekonsekwencje i nieprawdopodobieństwa w fabule *Placówki*:

W tej walce oni mają za sobą większą liczbę, wyższą oświatę, kapitały, porządek, bardziej rozwinięte zwyczaje ekonomiczne. A jednak!... przyszłość należy do cierpliwych. I my ich nie pokonamy, i oni nas nie zetrą; jest to walka ze skałą – kropli wody, która tylko chce wydrążyć sobie miejsce i wydrąży je (V, 213).

Jeżeli więc w swoich wcześniejszych kronikach, poruszał sprawy narodowej niewoli, czynił to wyłącznie w sposób pośredni, albo opowiadał humorystyczne epizody z codziennego życia Warszawy, albo też opisywał jako pozornie niezrozumiałe akty przemocy i bezprawia.

Tak np. protestował głośno przeciwko zaproszeniu do Warszawy cyrkowca, który wykonywał rozmaite czynności uprzednio kazawszy związać sobie ręce. Uznał za zmarnowane pieniądze wydane na obejrzenie takich sztuczek. Ponieważ:

[...] to, że on sam dzwoni i pali papierosy, będąc związany, nie stanowi dla mnie żadnej osobliwości. My wszyscy ludzie jesteśmy spętani i zakneblowani na tysiące sposobów, a mimo to palimy papierosy, dzwonimy, brzdąkamy, jemy. A nawet chodzimy i o ile się da zrywamy z bliźnich surduty. Byłoby jeszcze za co płacić, gdyby p. Eswe nauczył nas sposobu rozwiązywania się, ale tak! [...] Nie nas brać na sztuki, które umiemy sami (V, s. 317).

Innym znów razem informuje o różnych niezrozumiałych sprawach m.in., że „Inny jeszcze oponent podał prośbę w języku miejscowym, za co wbrew prawu, które niczego podobnego nie zabrania, otrzymał surowe wymówki, a prośba jego odrzuconą została” (I, cz. II, s. 257).

Ponieważ współcześni często zarzucali Prusowi moralizowanie czytelników, przekonywanie ich o znaczeniu małostkowych, drobno-mieszczkańskich ideałów, a potomni często powtarzali te zarzuty, należy zatrzymać się, choćby pobieżnie, na pozytywnym programie Prusa. Program ten, sformułowany dość wcześnie, a następnie wzbogacany i udoskonalany, ogłoszony został w postaci poważnych publicystycznych artykułów, do których Prus przywiązywał dużą wagę, spodziewając się po ich wpływie poważnych zmian w społeczeństwie, w *Kronikach* zaś poszczególne jego elementy często były poddawane pod rozwagę czytelników. Ogólnie rzecz biorąc, program ten był przedmiotem licznych analiz i surowej krytyki. Prus zaś przeszedł do historii jako

najbardziej wytrwały i najwierniejszy wyznawca i propagator jednej z odmian programu „pracy organicznej”, którego nie zdradził nawet wtedy, gdy rzeczywistość zaczęła wykazywać jego nieprzydatność. Spójrzmy na niektóre elementy tego programu rozrzucone po kronikach, aby uwolnić się w jego rozumieniu od szkolnych i pozaszkolnych uproszczeń.

W jednej z najwcześniejszych swych kronik Prus prezentuje optymistyczną wersję historycznego ewolucjonizmu i głosi, że naturalne prawa rozwoju prowadzą ludzkość ku postępowi, ku coraz doskonalszym formom życia. Godzi się jednak, że w jakiejś epoce, a jest nią, jego zdaniem, właśnie ta, w której żyje, niesprawiedliwość, naturalnie Prus nie może wskazać jej źródeł, zaczyna triumfować nad naturalnym dążeniem ludzkości ku dobru. I wtedy konieczna jest postawa czynna wobec tej triumfującej, silnej niesprawiedliwości, błędem natomiast jest postawa rezygnacji i kapitulacji wobec siły. W takich czasach należy zdobyć się na opór, którego Prus, rzecz zrozumiała, bliżej nie definiuje. Przekonany jest, że ponieważ niesprawiedliwość jest pogwałceniem praw naturalnych, załamię się tam, gdzie

spotyka opór wytrwały, wobec którego ustąpić musi. Lecz tam, gdzie nie ma oporu, gdzie nie ma wytrwałości, sprawiedliwość pozostanie czczym frazesem, a co najwyżej – grobowym kamieniem, który spóźniona litość, w braku lepszego zajęcia, wzniesie poturbowanemu niedołęstwu (t. I, cz. II, s. 269).

Entuzjasta, jak wszyscy wychowankowie Szkoły Głównej, bezinteresownej działalności społecznej, Prus chce podtrzymać na duchu wątpiących, tracących siły działaczy społecznych. Przede wszystkim każe im wierzyć, że ich działania, choć podejmowane i prowadzone samotnie, niezależnie jedne od drugich, zsumują się jednak w jeden wielki rezultat. Czynnikiem jednoczącym, integrującym ich poczynania są wielkie idee moralne, którymi Prus zajmuje się często w swych rozprawach teoretycznych, a które tylko wymienia ogólnikowo w *Kronikach*. Te wielkie idee, czynnik sprawczy moralnego i społecznego rozwoju ludzkości, to jeszcze jeden wyłom w racjonalistycznej i materialistycznej postawie Prusa. Odznaczają się one w jego ujęciu jakąś wielką siłą, możliwością autonomicznego rozwoju. Dzięki nim triumf złego w dziejach ludzkości jest tylko przejściowy, podobnie jak przejściowy jest triumf złych okazów ludzkich nad dobrymi:

Rozsypani w rozmaitych punktach pracownicy około dobra rzeczy publicznej harują nie wiedząc o sobie. Rezultaty zaś ich działań schodzą się wtedy tylko, gdy przewodniczą im

wielkie idee moralne. Wszystkie zaś krety podkopujące roboty innych, wszelkie szcurek wyjadające cudze zapasy, wszelkie konie, woły i osły siadające na ogólnym wozie, zamiast go ciągnąć – nie są bynajmniej geniuszami wskazującymi nowe drogi, ale starymi jak świat łotrami. Pogardzać nimi można, ale ani chwalić, ani podziwiać ich zdolności. (t. III, s. 110–111).

Nie należy więc ustępować przed złem, cofać się przed jego pozorną siłą. Przeciwnie, obowiązkiem ludzi zacnych, których współczesne stosunki zepchnęły na dalszy plan, jest mobilizować się, integrować swoje wysiłki, bo wspólnym działaniem mogą pozyskać dla swojej sprawy wartościowsze jednostki spośród ludzi złych. Ta aktywność jednostek wartościowych ma szczególnie doniosłe znaczenie w epokach, które wydają się epokami triumfującego zła:

Są epoki, jakby wyłącznie przeznaczone na triumfy złego. Wtedy lenistwo, ciemnota, rozpusta, nieposzanowanie cudzych praw podnoszą głowę i w biały dzień wychodzą z nor swoich na ulicę, szydząc z pracy, nauki, oszczędności i innych cnót towarzyskich. Obecność jednak podobnych zjawisk nie dowodzi bynajmniej, aby ludzie uczciwi i rozumni całkiem już nie istnieli. Owszem, oni są, ale rozproszeni i zepchnięci na drugi plan. Lecz zgromadźmy ich, wyprowadźmy naprzód, a wnet utworzą siłę i jeszcze z tego rozhukanego tłumu przyciągną do siebie pierwiastki lepsze (IV, s. 430).

Poświęcenie się wielkiej idei jest także jedyną szansą nieśmiertelności dla mieszkańca tej ziemi. Problem nieśmiertelności duszy ludzkiej najwyraźniej nękał Prusa, który wracał do niego wiele razy zarówno w *Kronikach*, jak w powieściowych arcydziełach. Przechodząc do porządku nad innymi koncepcjami pisarza, chciałabym tylko przytoczyć tę, która wiąże się z jego koncepcją wielkiej idei społecznej, ogarniającej potrzeby milionów:

Człowiek mija na tej ziemi jak cień przelatującego obłoku. Wczoraj był, dziś go nie ma; wczoraj zachwycał nas, cieszył albo imponował, a dziś jest bezwładniejszą od ziela, które na jego grobie wyrosło. I jeżeli coś zostaje po nim, to tylko cząstka jakiejś idei, ogarniającej potrzeby milionów, której służył i czynił, w których ją urzeczywistnił (XI, 225).

Ale z biegiem lat optymistyczne przekonania Prusa ustępują pesymistycznemu spojrzeniu na współczesność. Pisarz uważa swoją epokę za straszny czas, w którym człowiekowi odebrano nie tylko prawo do radosnego życia, ale także prawo do bohaterskiej śmierci. Nie może więc ani żyć ani umrzeć w sposób godny człowieka i jego wielkiej przeszłości. I jako jedyne remedium na współczesne zło pozostaje praca i to jeszcze określana w sposób następujący:

Bywają przecie czasy pośrednie między sielanką i bitwą, kiedy ani żyć nie można z uśmiechem, ani ginąć z honorem, tylko – pracować, pracować i pracować, jak gromada

zasypanych ziemią górników, dla których jedyną nadzieją i troską jest zobaczyć światło i odetchnąć chłodnym powietrzem (X, s. 101).

Dochodzimy tutaj do problemu „pracy organicznej”. Nazwa ta obciążana jest niedobrymi skojarzeniami, które zrastały się z nią od współczesności Prusa poczynając, poprzez ocenę następnych pokoleń polityków i działaczy, na podręcznikach szkolnych i publicystyce współczesnej kończąc. We wszystkich tych ujęciach windowano to hasło na wyżyny polityczne, do czego nie pretendowali jego twórcy, uznawano za opozycyjne w stosunku do tych wielkich haseł, od których tylko było chronologicznie późniejsze. Zatrzymajmy się nieco na jednej z późniejszych, bo z lat dziewięćdziesiątych pochodzącej Prusowskiej definicji pracy organicznej:

Dziś termin „praca organiczna” jest nieco zdyskredytowany dzięki temu, że znalazła się garstka filutów, którzy w imię „pracy organicznej”, w imię „zbogacenia siebie, czyli... kraju, pobierali procenta lichwiarskie, zakładali szynki, okradali banki itd. Lecz nie tak pojmował „pracę organiczną” „Przegląd Tygodniowy” i nie tym ona jest w rzeczy samej. Praca organiczna toć to wszelka produkcja, wszelkie uczenie się, wszelkie kojarzenie się ludzi do uczciwych celów; toć to właściwe życie każdego społeczeństwa, które nie może ustawać ani na chwilę, nawet w razie wojny, epidemii, powodzi i innych klęsk elementarnych (XII, s. 124 – 125).

Ta koncepcja pracy organicznej kojarzy się z poglądami Menesa, który Pentuerowi biadającemu nad klęską Ramzesa odpowiada takimi rozważaniami:

Czy kończy się jedna dynastia a zaczyna druga, czy państwem wstrząsają bunty i wojna, albo kwitnie pomyślność, masy ludu muszą jeść, pić, spać, żenić się i pracować, jak drzewo rośnie bez względu na deszcz i posuchę (*Faraon*, t. III, s. 266, *Pisma*, t. XX, Warszawa 1935).

Słowem praca organiczna to działanie zmierzające do zapewnienia narodowi warunków biologicznego przetrwania. Drzewo narodowego życia musi rosnąć bez względu na deszcz i posuchę. Ale jak każde działanie, praca organiczna musi być przygotowana intelektualnie: musi być sformułowany cel, opracowany plan zmierzający do jego osiągnięcia, przygotowane środki jego realizacji. Za najlepszych przedstawicieli tak pojętej pracy organicznej uważa Prus Czechów, maleńkimi, ale nieustannie stawianymi krokami zmierzających do realizacji swych narodowych celów. Niestety, w swoim narodzie Prus tych cech nie dostrzega i wytyka mu jego wady. W kronice pozornie poświęconej grze w szachy, w którą Czesi grają chętnie i często, a której Polacy nie lubią,

Prus określa tę niechęć jako wielki błąd, bo gra ta wyrabia tak rzadką wśród Polaków umiejętność przewidywania. Natomiast:

Naród czeski, tak jak zresztą każdy, gra wielką partię o swój byt i rozwój, a wybudowanie teatru ze składek, często nie wyższych od grajcara, jest podobne do tego szachowego „cugu”, z którym z „piona” robi się „królowa”. Co więcej: spalił im się jeden teatr, a oni zbudowali drugi. Wzięto im jedną królową, a oni mieli na pogotowiu piona, z którego zrobiła się druga królowa! Jest to mistrzowska gra, o byt narodowy, ale cóż, kiedy... my jej nie rozumiemy. Zachwycamy się tylko świetnymi jej rezultatami i te chcielibyśmy naśladować jak kapryśne dziecko, które woła: – Ty masz królowę, to i ja będę miał królowę!... (VI, s. 245 – 246).

Godnego antenata tak pojętej pracy organicznej znalazł Prus, ale już u schyłku swego życia, w Adamie Mickiewiczu, kiedy dzięki wydaniu Kallenbacha zaznajomił się z jego korespondencją i pismami filomackimi. Jakże się nimi sędziwy pisarz zachwycił, jak żałował, że tak późno mógł je poznać. Z nieznanym dawniejszym pismom entuzjazmem i aprobatą pisał o Mickiewiczu jako człowieku, z najgłębszym przekonaniem starał się ukazać jego wielkość.

Cytat z przemówienia Mickiewicza do Czeczota opatrzył takim komentarzem:

[...] i stąd to powiedział Homer, iż bogowie każdemu niewolnikowi połowę duszy odbierają. Pierwszym więc twoim będzie usiłowaniem, ażebyś wydzwignął się z tej przepaści lekceważenia wszystkiego i drugim do wydzwignięcia się pomógł [...] Wmówić w człowieka, iż jest zdolnym do wykonania wielkich rzeczy, ale przynajmniej do myślenia o nich, jest już wielką rzeczą”... Ten wyjątek z mowy do Czeczota wskazuje, że Mickiewiczowi chodziło już nie o jakąś zachętę młodzieży do nauki i do czuwania nad sobą, ale o zamiar kolosalny: o odrodzenie narodu „narażonego na podłość”. (*Poeta, wychowawca narodu*, [w:] *Pisma*, t. XXIX, s. 274).

Kazał zachwycać się Mickiewiczowską definicją czynu, wskazując wielkość poety nie tylko jako mistrza słowa, ale także jako teoretyka działania, określającego warunki, jakie musi spełnić ten, kto chce działać skutecznie:

Ale proszę przeczytać definicję czynu: „Trzeba przezorności i rozwagi, trzeba działać w pewny a zawsze jednostajny sposób, podług pewnych a zawsze jednostajnych prawideł, na pewnych a zawsze jednostajnych zasadach”. To już nie „poeta”, to administrator, nieledwie mąż stanu! (*Pisma*, t. XXIX, s. 276).

Kończy zaś Prus swój esej o Mickiewiczu uznaniem dla poety jako rozumiejącego istotę społeczeństwa i warunki skutecznego działania:

Mickiewicz był urodzonym organizatorem, rozumiał, co to jest podział pracy, umiał przewidywać i rozważać swoje plany z mnóstwa innych stanowisk, odgadywał prawo rozwoju i potrafił wyczekiwać na skutki odleglejsze (*Pisma*, t. XXIX, s. 275).

A jak oceniał Prus narodowy charakter Polaków? To temat, który domaga się poważniejszego potraktowania i wnikliwszych studiów nad publicystyczną i beletrystyczną spuścizną pisarza i nad polityczną myślą jego czasów. W obecnych rozważaniach ograniczę się do przytoczenia kilku przypadkowo wybranych wypowiedzi. Zarzucił w nich swemu narodowi powierzchowność, płyciznę przekonań, przelotność uczuciowych przeżyć:

Najcięższe klęski przeszliżgają się po Polakach bez śladu, a tak samo najpoważniejsze myśli i projekta; bo ten naród ma zawsze lat dwadzieścia, który to wiek żyje popędami i marzeniami, nie zaś celami i doświadczeniem (t. XIII, s. 27).

Zarzucił niepoważne oglądanie się na cudzą opinię, przywiązywanie do niej nadmiernej wagi:

My, nawet ginąc, jeszcze byśmy się pytali nie o to: czy dobrze lub źle jest ginąć, ale – co o tym świat powie? I mniej nas bołą własne rany aniżeli niewdzięczność rozmaitych ludów, które dla nas straciły sympatię. (IX, s. 245).

Zarzucił także Polakom, że nie umieją się przyznawać do popełnionych błędów, a niepowodzenia przypisują nie własnym pomyłkom i niedołęstwu, lecz cudzej przewrotności. Zarzucił, że nie lubią słuchać prawdy o sobie i głoszących ją zmuszają chętnie do milczenia:

Szczerze byśmy pragnęli, aby ogół raz nareszcie przejął się tą prawdą, że głupcy tylko lamentują nad cudzą przewrotnością, która ich krzywdzi: ludzie bowiem rozumni w wypadkach podobnych lamenta zostawiają smarkaczom, a przewrotność obcych zwalczają swoją uczciwością, rozumem i taktem. Największym wrogiem ogółu jest ten, kto mu pochlebia, a tym sposobem nie tylko utrwała go w błędach, ale nawet pozbawia możności ich poznania i usunięcia (II, 310).

Za najdokuczliwszą wadę Polaków Prus uważał ich gadulstwo. Szydził z ich przekonania, że wygłosić mowę na temat jakiejś społecznej bolączki, np. pauperyzmu w Warszawie, znaczy usunąć ją. U schyłku życia w wymienionym wyżej esesju o Mickiewiczu powołał się nawet na autorytet poety pisząc, że filomaci żądali od swych członków dyskrecji i umiejętności zachowania tajemnicy, „co dowodzi, że Mickiewicz znał naszą chorobę lekkomyślnego gadulstwa i pragnął z niej wyleczyć” (*Pisma*, t. XXIX, s. 276).

Oratorskie uzdolnienia swoich rodaków wydrwił w kronice poświęconej fikcyjnej wizycie Gambetty w Warszawie, którego chciano uczcić

uroczystym zebraniem z przemówieniami i kolacją. Efekt był następujący:

Przy wyborze tematów zgodzono się, że wypada mówić tylko o rzeczach abstrakcyjnych, przy których najlepiej uwydatnia się siła argumentacji, nie sztuka bowiem grać na namiętnościach. [...] Tu dopiero nasz talent zajaśniał w pełnym blasku. Mowy płynęły jak kaskady, układając się w niezliczone kombinacje. To dwaj oratorowie mówili jednocześnie, a każdy o czym innym, to spierali się i polemizowali z sobą o rzecz, na którą każdy zgadzał się w zasadzie. Czasami oponent z góry zbijał mowę, której jeszcze nie słyszał; czasem, gdy jeden mówił, drugi zatykał sobie uszy, a gdy tamten nagle urwał, ten zaczynał sam nie wiedząc o czym, choćby od połowy niedokończonego wyrazu i ciągnął rzecz dalej. Jeden wypowiedział nawet całą mowę od końca. A wszystko płynnie, bez błędu, z jednakowym sensem (V, s. 175 – 176).

Kiedy skończyło się posiedzenie, Gambetta ledwie zipał, chwycił kapelusz i pobiegł, przypuszczano, że wprost na kolej. „Obecni wyprowadzili z tego wniosek, że Gambetcie tak zaimponowała nasza inteligencja, iż z zazdrości nie zdążył nawet podziękować za kolację” (*ib.* s. 176).

W późniejszej jednak swej wypowiedzi mniej optymistyczne naszego gadulstwa wskazał skutki: „Ach, te »wyczerpujące dyskusje« jaka to klęska! My »dyskutujemy«, a inni biorą nas za łeb” (XII, s. 39).

Następną wadą narodu polskiego jest jego, jeśli tak można powiedzieć, antydemokratyzm, jego skłonność do tworzenia grup elitarnych i uznawania ich wyjątkowego stanowiska i wyjątkowych praw. Prus w całej swej publicystycznej działalności walczył z przywilejem, faktycznym lub pozornym, atakował bez względu na to, czy był on przywilejem urodzenia, majątku czy spełnianej funkcji. Ostro przeciwstawiał się rzekomo wyjątkowej wartości i wyjątkowej roli inteligencji w narodzie. Wszystkich: rękodzielników czy głowodzielników chciał szacować według jednakowej miary: wartości wykonanej przez nich pracy. Co więcej, uważał, że znaczenie zasadnicze ma praca owych pogardzanych rękodzielników, bo oni tworzą podstawy narodowego bytu:

Rzecz od dawna wiadoma – pisał – że narodu nie stanowią wyłącznie ci, którzy żyją z renty lub procentów, ani ci, co czytają lub piszą książki i gazety. Tworzą oni to, co można by nazwać liśćmi społecznego drzewa, które posiada jeszcze gałęzie, pień i korzenie, czyli – klasy pracujące wiejskie i miejskie (VI, 19).

Wszystkich ludzi uważał za równych sobie, nie widział między nimi lepszych, czy bardziej potrzebnych, za gorszych natomiast uważał tych, którzy przekonani są o własnej wyższości:

Parobek, owczarz, szewc, subiekt handlowy, literat, inżynier, lekarz, statysta – wszyscy są równi jako ludzie. Jeden z nich więcej pracuje mięskulami, inny więcej nerwami, jeden jest

więcej, drugi mniej ukształcony i – oto są różnice. [...] Różnic zatem nie ma tak wybitnych i naprawdę ten tylko jest wart mniej od innych, kto nie pełni swoich obowiązków, sarka na nie, albo uważa się za lepszego od reszty ludzi (t. II, s. 238).

Łączy nas wszystkich jedna ludzka natura, taki sam ludzki los, czyli to, co jest najważniejsze, różnią natomiast sprawy drobne i nieważne. Dlatego w *Kronikach* swoich konsekwentnie i wytrwale walczył przeciwko wszelkiej dyskryminacji: narodowej, wyznaniowej, towarzyskiej: kazał szanować ludzi z niższych warstw społecznych, którzy własną pracą dorobili się majątku czy stanowiska, współczuć i traktować jako równych tych, którzy skutkiem wypadków losowych czy niezaradności ten majątek stracili. Wyznawał, że to poczucie braterstwa i równych praw wszystkich ludzi zawdzięczał atmosferze Szkoły Głównej, która go wychowała.

Wyznaję – pisał – że ten rodzaj ambicji, który nie pozwala eks-woźnego uważać za kolegę albo w osobie kelnera tolerować eks-kolegi, jest dla mnie zgoła niezrozumiałym. Z jakiegokolwiek bowiem punktu patrzę na ludzi, widzę, że w najgłówniejszych cechach są oni równymi, a nierównymi tylko w drobiazgach. Książę, szewc, Żyd – jednakowo rodzą się, jednakowo giną z zimna i głodu. Wszystkich nękają choroby i przypadek, a pochłania grób, wszyscy mają umysł chciwy nowości, serce zdolne do uciechy, smutku, współczucia (XI, s. 74).

Z oburzeniem pisał o tej tolerancji, która każe z uśmiechem dobrotliwego pobłażania mówić i pisać o grzechach ludzi z wyższych sfer społecznych i traktować je jako rodzaj pańskiej fantazji, w winach zaś ubogich i niewykształconych dopatrywać się niebezpiecznych przejawów zepsucia:

Występek jest zawsze występkiem, czy chowa się za szyld handlarza, czy za herbową tarczę. Ale staje się groźnym niebezpieczeństwem wówczas, gdy opinia zmuszoną jest do milczenia, czy to przez obawę, czy przez niewczesny sentyment. Złe to gospodarstwo społeczne, gdzie jedno pochodzenie albo zajęcie jest jak pręgierz, na którym wszystkich uważa się za zbrodniarzy, a inne pochodzenie i stanowisko jest jak forteca, w której ukrywać się może nawet występki (V, s. 27).

Tego rodzaju podział na ludzi, których występki bawia, są przedmiotem anegdot i rozmów towarzyskich i takich, których winy gorszą i wołają o społeczną reakcję, staje się powodem zasadniczej niesprawiedliwości, popełnianej przez tak zwaną opinię publiczną: naruszona jest istota „wolności”. Dziwna rzecz, że Prus zajmuje się tak anachronicznym w jego czasach pojęciem. Ale też ogranicza je do tego tylko zakresu, gdzie ono jeszcze funkcjonowało – mianowicie do życia gospodarczego. Zajmuje się więc np. sprawą reorganizacji cechów, a

m.in. projektem objęcia nimi wszystkich pracujących w jednym fachu bez względu na płeć i wyznanie i opozycją w stosunku do tego projektu. Opozycja ta występowała w imię „wolności pracy”. Prus odpowiadał jej:

„Piękne hasło! z którego, na nieszczęście, praktykowała się dotychczas tylko wolność fuszerki w robocie, wolność odmawiania czeladzi współzawodnikom, wolność bezkarnego oszukiwania kupujących, wolność rujnowania ubogich majstrów cenami sztucznie niższymi, a w końcu – wolność życia w nędzy i ciemnocie bez nadziei pomocy od bliźnich. Wolność jest jak kij – ma dwa końce. Kiedy jeden nazywa się „wolnością”, a drugi „sprawiedliwością”, wówczas można oprzeć się na nim i ułatwić sobie wędrówkę życiową. Ale jeżeli jeden koniec nazywa się „wolnością”, a drugi „samowolą” i „egoizmem”, wówczas podpora zamienia się na rozbójniczą pałkę, którą bogatsi, zręczniejsi i uprzywilejowani tłuką grzbiety ubogim i mniej zręcznym (VIII, s. 46–47).

Teraz powinna bym przejść do spraw ekonomicznych, których Prus był cierpliwym a namiętnym obserwatorem i analitykiem. Problemom tym poświęcił wiele miejsca w krónikach, opracowując je w sposób najrozmaitszy. A więc w kronikach miesięcznych w „Ateneum” poddawał je analizie statystycznej, w tychże kronikach, a także w niektórych kronikach tygodniowych poświęcał dłuższe wywody, wskazując obok istniejących bolączek także liczne sposoby minimalnych udoskonaleń w gospodarce narodowej. Czasem wreszcie rzucał jakby mimochodem złośliwe uwagi dotyczące aktualnego jej stanu. Ograniczę się tu do dwu przykładów tej ostatniej kategorii. Tak np. zareagował na narzekania prasy na nadmierny import:

Znaczy: że dawna „spizarnia Europy” nie może obejść się bez narzędzi do pracy i artykułów spożywczych zagranicznych; że ojczyzna narodu, którego oświatę podziwiano przed kilkoma wiekami, nawet elementarną wiedzę czerpie dziś od obcych. Podobnie w odległych wiekach, niedbały gospodarz, u którego wygasło święte domowe ognisko, jak o jałmużnę żebrać musiał sąsiadów o – iskrę (IV, 470).

Regularne zaś narzekania prasy na drożyznę żywności skwitował raz taką uwagą:

Podobnież choroby społecznej, zwanej drożyzną, nie trzeba szukać w jatkach, kantorach, sklepikach, ale w produkcji rolnej. Nie trzeba stanowić taks, lecz bardzo trzeba podnieść rolnictwo, o ile się komu da (t. IV, s. 415).

Podzieliłam się z czytelnikiem niniejszych rozważań, które zawdzięczam lekturze *Kronik* Prusa podjętej pod wpływem bodźców zewnętrznych. I nie żałuję tych godzin, które poświęciłam obcowaniu z tym wspaniałym a niedocenionym dorobkiem. Dorobkiem, który przekonuje nas, że Prus przez długie lata publicystycznej działalności był tym, kim chciał być u początku swej drogi – nie sędzią, nie kaznodzieją, lecz obserwatorem swego społeczeństwa.